

# TO, CO ZOSTAWIŁA



Ellen Marie Wiseman

Ellen Marie Wiseman

# TO, CO ZOSTAWIŁA

PRZEŁOŻYŁA

Alicja Laskowska



TYTUŁ ORYGINAŁU:  
*What She Left Behind*

Redaktor prowadząca: Aneta Bujno  
Redakcja i językowe opracowanie tekstu: Agata Wawrzaszek, Anna Skowrońska  
(CALA JASKRAWOŚĆ, [www.calajaskrawosc.pl](http://www.calajaskrawosc.pl))  
Projekt okładki: Mariusz Banachowicz  
Zdjęcie na okładce: © ehrlif (Shutterstock.com)  
Skład: skladigrafika@gmail.com

Copyright © 2014 by Ellen Marie Wiseman

Copyright © 2017 for Polish edition by Wydawnictwo Kobiectwo,  
an imprint of ILLUMINATIO Łukasz Kierus  
Copyright © for Polish translation by Alicja Laskowska

Wszelkie prawa do polskiego przekładu i publikacji zastrzeżone. Powielanie i rozpowszechnianie z wykorzystaniem jakiegokolwiek techniki całości bądź fragmentów niniejszego dzieła bez uprzedniego uzyskania pisemnej zgody posiadacza tych praw jest zabronione.

Wydanie I  
Białystok 2017  
ISBN 978-83-65506-54-2



Bądź na bieżąco i śledź nasze wydawnictwo na Facebooku:  
[www.facebook.com/kobiece](http://www.facebook.com/kobiece)



[www.wydawnictwokobiece.pl](http://www.wydawnictwokobiece.pl)

Wydawnictwo Kobiectwo  
E-mail: [redakcja@wydawnictwokobiece.pl](mailto:redakcja@wydawnictwokobiece.pl)  
Pełna oferta wydawnictwa jest dostępna na stronie  
[www.wydawnictwokobiece.pl](http://www.wydawnictwokobiece.pl)

*Dla mojego męża, Billa*  
*– który zawsze we mnie wierzy*

## PODZIĘKOWANIA

Korzystając z okazji, chciałabym jeszcze raz podziękować wszystkim osobom, które mi pomagały, wspierały i wierzyły we mnie w trakcie tej niesamowitej podróży.

Największe wyrazy wdzięczności należą się Darby Penney i Peterowi Stastny'emu, autorom *The Lives They Left Behind: Suitcases from a State Hospital Attic*, bez których moja powieść nigdy by nie powstała. To właśnie Wasza książka zainspirowała mnie do zmierzenia się z tym tematem i otworzyła mi oczy na częstokroć smutny i bolesny świat dawnych zakładów psychiatrycznych. Mam szczególny dług wobec Darby Penney, która cierpliwie odpowiadała na moje niekończące się pytania na temat szpitala Willard i tego, co musiały przeżywać tam pacjentki w latach 30. XX wieku. Mam nadzieję, że wybaczysz mi wszelkie historyczne nieścisłości oraz twórczą swobodę, na które sobie pozwoliłam.

Pragnę gorąco podziękować Deborah Jiang Stein, autorce i założycielce projektu unPrison, za zaspokojenie mojej ciekawości dotyczącej kwestii kobiet w więzieniach. Dziękuję również Andrew Thompsonowi za

udzielenie mi wyczerpujących odpowiedzi na temat strażników więziennych.

Jestem ogromnie wdzięczna rodzinie i przyjaciołom, którzy dzielnie znosili mój szalony rytm pracy, nie gniewali się, kiedy musiałam powiedzieć „nie”, i zapewnili mi idealne warunki do pracy. Dziękuję za Waszą niezachwianą wiarę w moje możliwości, za cierpliwość i wyrozumiałość, a przede wszystkim za Waszą bezgraniczną miłość.

Powiedzieć, że jestem wdzięczna mojej grupie autorskiego wsparcia z Book Pregnant (<http://bookpregnant.blogspot.com/>), to za mało. Nie wyobrażam sobie, że bym mogła przetrwać jakoś tę zwariowaną i porywającą podróż bez Waszej przyjaźni i bezcennych porad. Razem podbijamy świat, książka za książką!

Ogromne podziękowania należą się również mojej przyjaciółce i kosmicznej siostrze, Barbarze Titterington. Dziękuję, że jesteś jedną z moich największych fanek i że przeczytałaś pierwszą wersję powieści. Miło wiedzieć, że w Twoich oczach zawsze jestem gwiazdą.

Mam też dogonny dług wdzięczności wobec mojego wspianego redaktora Johna Scognamiglia, który nigdy nie przestał we mnie wierzyć, oraz mojego cierpliwego i wnikliwego agenta Michaela Carra. Dziękuję Wam za ciągle wsparcie i bezcenne uwagi oraz za to, że pomogliście mi solidnie dopracować całą historię. Podziękowania należą się również Vidzie Engstrand, za wypromowanie moich książek, oraz Meryl Earl, dyrektor do spraw praw autorskich, która zajęła się kwestią tłumaczeń na inne języki. Dziękuję też Kristine Mills-Noble za cudowne projekty okładek. Stokrotne dzięki całej reszcie załogi

Kensington Publishing Corp. za ciężką pracę, którą wykonujecie za kulisami.

Żadne podziękowania nie byłyby kompletne bez paru słów na temat ludzi, którzy tworzą moją lokalną społeczność. Kimkolwiek jesteś – bibliotekarką, która poprosiła, abym dała mały wykład, dziennikarzem, który napisał o mnie artykuł, członkiem klubu czytelniczego, który zaprosił mnie do swojego domu, fanem z internetu czy po prostu kimś, kto przeczytał moją książkę i postanowił powiedzieć mi kilka miłych słów na jej temat – nawet nie wiesz, jak ważne było dla mnie Twoje wsparcie i życzliwość. Widok Waszych uśmiechniętych, rozplamionych twarzy niejednokrotnie rozczulił mnie do łez i wypełnił serce dumą. Nigdy tego nie zapomnę.

Jak zawsze chciałabym z całego serca podziękować mojej ukochanej mamie, Sigrid, która jest moją ostoją, oraz mężowi, Billowi, za to, że pomógł mi dotrzeć do końca. Żadne słowa nie są w stanie wyrazić, jak wiele dla mnie znaczą. Na koniec pragnę wyrazić dozgonną miłość i wdzięczność wobec moich dzieci – Bena, Jessiki i Shanae – oraz wnuków – Rylee, Harper i Lincolna. Jesteście moim największym osiągnięciem i kocham Was całym swoim jestestwem. Sprawiacie, że warto żyć.

## I S A B E L L E

*Szpital Psychiatryczny Willard*  
1995

Siedemnastoletnia Isabelle Stone ledwo postawiła stopę na terytorium szczelnie pozamykanego Szpitala Psychiatrycznego Willard i już wiedziała, że to był błąd. Gdyby ktoś dostrzegł ją tam, stojącą na popękanej, pełnej dziur drodze przecinającej ten ogromny, okolony drzewami teren, nie miałby żadnego pojęcia o koszmarze, który zatruwał jej myśli.

Tej leniwej sierpniowej soboty ciepła bryza, niosąca ze sobą zapach rogoży i wodorostów, raz po raz mierzwiła sosny rosnące po lewej stronie podwórza. Upał unosił się drżącymi falami nad spieczoną słońcem ziemią, a cykady odgrywały swój niekończący się koncert w wysokich trawach niedaleko lasu – niczym żywy termometr,



który z każdym kolejnym stopniem Celsjusza intensyfikował swoje wysiłki. Wypielęgnowane trawniki Willard, zdobiące otoczenie głównych budynków szpitala, delikatnie opadały w stronę kamienistego wybrzeża jeziora Seneca. Na jego falach sennie kołysały się łódki, a długie molo zdawało się namawiać do zanurzenia w lśniących wodach.

Isabelle – ojciec nazywał ją Izzy – powinna była cieszyć się słoneczną aurą i przepięknym widokiem. Zamiast tego zaciskała zęby, rozpaczliwie próbując uwolnić się od obrazu krwawiącej dziury w czaszce swojego ojca. Czuła się tak, jakby trafiła do czyśćca. Czy kiedykolwiek zazna jeszcze spokoju, czy może już zawsze będzie tą siedmioletnią dziewczynką, która wciąż na nowo przeżywa tę potworną noc, kiedy jej ojciec został brutalnie zamordowany?

Izzy wyszła z cienia Chapin Hall, ogromnego głównego budynku szpitala, zamknęła oczy i skierowała twarz do słońca, próbując wyprzeć z głowy wszelkie myśli. Jednak kiedy spojrzała znów na trzypiętrowy ceglany budynek w stylu wiktoriańskim i jego katedralne okna, jej twarz opanował znów grymas żalu i strachu. Imponująca dwupiętrowa kopia z owalnymi okienkami górowała nad czarnym mansardowym dachem, z którego wyrastały liczne lukarny, wieżyczki oraz kominy. Olbrzymie dwuskrzydłowe drzwi wejściowe ochraniał kamienny portyk z rozpadającymi się filarami. Czarne kraty zakrywały wysokie okna, które prawie wszystkie były zabite deskami od środka – z wyjątkiem lukarn na strychu oraz owalnych okien zdobiących kopułę. Budynekowi bliżej było do

nawiedzonej posiadłości niż miejsca zaprojektowanego z myślą o niesieniu pomocy.

Izzy zastanawiała się, jakie potworności miały miejsce w tym ponurym budynku. Jakie okropne wspomnienia wsiąkły w cegły, zaprawę murarską i zmatowiałe szkło, stając się nieodłączną częścią całej struktury, zapieczętwowane krwią i łzami? Podobnie jak udręka i cierpienie już zawsze będą częścią jej jestestwa, tak i wspomnienia tysięcy udręczonych dusz będą już na wieki związane z Chapin Hall oraz pozostałymi budynkami tworzącymi Willard. W jaki sposób to miejsce miałoby stać się kiedyś czymś więcej niż tylko przygnębiającym cmentarzyskiem przypominającym o utraconych istnieniach i bliskich osobach?

Przełknęła ślinę i odwróciła się w stronę wody, osłaniając ręką oczy przed słońcem. Zastanawiała się, czy mijający ich żeglarze spoglądali czasem na szpital i stwierdzali, że te ceglane budynki i ich idylliczne otoczenie należą do jakiegoś lokalnego klubu lub uniwersytetu. Z daleka cały kompleks wyglądał na zadbany i elegancki. Lecz ona nie dała się zmylić. Wyobraziła sobie byłych pacjentów siedzących na wózkach inwalidzkich czy wólcących się po dziedzińcu – szpitalne koszule zwisające z ich wychudzonych ciał, nieobecne, zamglone spojrzenia. Wyobraziła sobie, że jest jednym z nich i tak jak oni spogląda na błękit jeziora. Czy zdawali sobie sprawę, że inni ludzie z niewielkich osad po drugiej stronie zatoki wypływają w tym czasie na przejażdżki łodziami, gotują obiady, zakochują się i rodzą dzieci? Zastanawiali się, czy kiedykolwiek uda im się opuścić mury tego straszego

miejsca, czy będą jeszcze mogli wrócić do „normalnego” świata? A może żyli w kompletnej nieświadomości tego, co tracili?

Kiedy kolejne wspomnienie wdarło się do jej myśli, Izzy poczuła, jak żołądek podchodzi jej do gardła. Tym razem zobaczyła swoją matkę, Joyce, rozłożoną na łóżku w Centrum Psychiatrycznym Elmira, jej szkliste oczy patrzące tępo w sufit i włosy sterczące we wszystkich kierunkach. Pamiętała, że był to parny dzień, taki jak ten, przez co tusz do rzęs i eyeliner tworzyły czarne strugi na bladych policzkach matki, upodabniając ją do klauna, którego złapała ulewa. Izzy pamiętała, jak sama schowała twarz w spódnicy babki, błagając ją, żeby wróciły do domu. Nigdy nie zapomni niekończących się białych korytarzy oddziału dla chorych psychicznie, zapachu moczu i wybielacza, ciemnych sal, pacjentów na wózkach inwalidzkich i łóżek otoczonych gumowymi ścianami. Po tamtej wizycie całymi latami prześladowały ją koszmary. Poprosiła swoją babcie, żeby nie kazała jej już tam wracać, i na szczęście kobieta się zgodziła.

Izzy otuliła ramionami swoje drżące ciało i krocząc dalej podniszczoną główną drogą do Willard, zastanawiała się, jak doszło do tego, że zwiedza właśnie ogromną replikę tamtego przerażającego miejsca. Mogła przecież powiedzieć, że ma migrenę czy mdłości, wymyślić jakąś wymówkę. Było wielu pracowników muzeum, którzy mogli ją zastąpić. Nie chciała jednak rozczarować swojej nowej przybranej matki, Peg, która była kuratorem muzeum. Po raz pierwszy od śmierci babki Izzy mogła powiedzieć, że ma przybranych rodziców, którym naprawdę na niej zależy.

To prawda, że za niecały rok skończy osiemnaście lat. Znała ten system na tyle dobrze, by zdawać sobie sprawę, że osiemnaste urodziny nie miały nic wspólnego ze świętowaniem. Kiedy pieniądze przestaną spływać, będzie zdana na samą siebie. „Wyrosnąć” z opieki zastępczej oznaczało zostać bezdomnym. Słyszała historie o dzieciakach, które łądowały w więzieniu i na pogotowiu, sprzedawały narkotyki i żyły z zasiłku z opieki społecznej i bonów żywnościowych. Jak bardzo trzeba być zdesperowanym, żeby złamać prawo, by przeżyć? Póki co sprawy miały się dobrze i nie chciała tego zepsuć.

Peg poprosiła ją, by pojechała do starego szpitala psychiatrycznego i pomogła zabezpieczyć wszystko, co było warte zabezpieczenia, nim budynki zostaną przeznaczone do rozbiórki. Nie wspominając słowem o swoich obawach, Izzy przystała na jej propozycję. Poczowała ogromną ulgę, kiedy Peg pozwoliła jej zapoznać się najpierw z otoczeniem budynków, zamiast posyłać ją od razu do środka z całą resztą, by schodziła do piwnic, przechadzała się po kostnicy i zwiedzała setki opuszczonych sal. Dręczyło ją jednak pytanie, co Peg by sobie pomyślała, gdyby wiedziała, że samo przebywanie w pobliżu Willard przyprawia Izzy o mdłości.

Przeszła przez drewniany mostek nad wyschniętym korytem strumienia i udała się wąską drogą w stronę sosnowego lasu. Po lewej dostrzegła stado bernikli kanadyjskich szukających pożywienia na zarośniętym polu. Ich zwieszane nad nawłocią głowy przypominały wypolerowane czarne główne dzentelmeńskich lasek. Parę metrów od krawędzi drogi trzy szaro-żółte gąsiątka chowały

się w gnieździe utkanym z tymotki i gwiazdnicy, bacznie obserwując otoczenie. Izzy zatrzymała się, by na nie popatrzeć. Pisklęta miały otwarte oczy, ale nie ruszały się. Przysunęła się bliżej, kątem oka kontrolując dorosłe ptaki uczujące na polu. Niezależnie od tego, jak bardzo zbliżała się do młodych, żadne z nich nawet nie drgnęło. Izzy przełknęła ślinę i poczuła, że ma gulę w gardle. Wszystko wskazywało na to, że gąsiątka były martwe albo umierające.

Kucnęła i podniosła jedno z nich, obracając w rękach jego miękkie, bezwładne ciało, szukając jakiejś rany pod skrzydełkami i na brzuszku. Poruszyła jego nóżkami i szyją, sprawdzając, czy nie ma złamanych kości. Nie znalazła żadnego śladu urazu, a jego delikatny puszek był jeszcze ciepły. I wtedy pisklę mrugnęło. Wciąż żyło. Może małe były chore, podtrute niewłaściwie zutilizowanymi chemikaliami czy lekami z Willard. Izzy podniosła pozostałe dwa gąsiątka i również nie znalazłszy niczego niepokojącego, odłożyła je na miejsce.

Przez chwilę zastanawiała się, czy Peg pozwoliłaby wziąć je do domu, by tam spokojnie wróciły do zdrowia. Potem przypomniała sobie, że dzikie zwierzęta należy zostawić w spokoju, nie ingerować. Może ich matka zaraz wróci i zorientuje się, że coś jest nie tak. Izzy wyprostowała się i wróciła na drogę z oczami pełnymi łez. Raz po raz zaglądała przez ramię, licząc, że zjawią się rodzice pisklątek. Ufała, że nic im się nie stanie. Wtem, ni stąd, ni zowąd, gąsiątka wyskoczyły z gniazda i popędziły w kierunku pola, do matki, która biegła już im na spotkanie, gęgając wniebogłosy. Izzy uśmiechnęła się

do siebie i otarła łzy, zaskoczona, że gęsi potrafią udawać nieżywe.

Odetchnąwszy z ulgą, kontynuowała swoją przechadzkę w stronę lasku. Po jednej stronie drogi zauważyła pochylony czteropiętrowy budynek stojący pośrodku pola. Jego powybijane okna zabezpieczone były żelaznymi kratami, dach całkiem się już zapadł, a zielone kafelki i połamane drewno pokrywała czarna pleśń. Wyglądało to tak, jakby budynek spadł tu z nieba niczym statek sponiewierany przez żywioł i wyrzucony na brzeg tysiące kilometrów od morza. Po drugiej stronie drogi całe rzędy wąskich żelaznych tablic zatkniętych na grobach przeciwnały wyłysiałą łąkę. Większość z nich była przekrzywiona na prawo i lewo niczym zaniedbane, szare zęby. Izzy poczuła gorzki smak w ustach. Stała właśnie przed cementarzem Willard. Odwróciła się na pięcie i pobiegła z powrotem do głównego kompleksu składającego się z rzędów potężnych ceglanych budynków oddziałów szpitala połączonych z Chapin Hall.

Wszystkie wyglądały podobnie – schody przeciwpożarowe zabezpieczone drucianymi kratkami, brudne okna przesłonięte grubymi prętami i czarny osad ściekający po murach z gnijących parapetów. Drzwi i okna były w większości zabite deskami od środka, tak jakby ktoś kiedyś uznał, że koszmarnie wspomnienia związane z tymi murami nie powinny już nigdy wyjść na światło dzienne. Izzy zdrzała na całym ciele. Ilu pacjentów cierpiało katusze i w końcu umarło w tym okropnym miejscu?

Właśnie wtedy ktoś zawołał ją po imieniu, wrywając z zadumy. Kiedy odwróciła głowę, zobaczyła uśmiechniętą

Peg biegnącą w jej kierunku. Odkąd Izzy poznała swoją nową przybraną matkę, kobieta przypominała jej hippiskę z lat sześćdziesiątych. Teraz też tak było. Peg miała na sobie dżinsowe ogrodniczki i kwiecisty top, a na głowie niesforną burzę loków.

– Czy to miejsce nie jest niesamowite? – spytała kobieta. – Nie miałam pojęcia, że Willard jest aż tak ogromne!

– Jest całkiem spore, nie da się ukryć – odpowiedziała Izzy, starając się zabrzmieć uprzemie.

– Widziałas hangar na łodzie i przystań? Pierwszy pacjent, a właściwie pacjentka szpitala Willard przybyła tu na pokładzie parowca w październiku 1869 roku. Miała na imię Mary Rote i była zdeformowaną, obłąkaną kobietą, którą przez dziesięć lat przetrzymywano w przytułku dla ubogich w hrabstwie Columbia, nagą i bez żadnego łóżka, przykutą do ściany łańcuchami jak zwierzę. Tego dnia przyplłynęło tu jeszcze trzech innych pacjentów, wszyscy w kajdanach. Jeden z nich znajdował się w klatce, która do złudzenia przypominała te do transportowania kurczaków.

Izzy skierowała wzrok na molo. Na prawo od przystani stał dwupiętrowy hangar z powybijanymi oknami i dziurami po wyłamanych gontach, przywodzący na myśl poobijaną twarz z opadającymi powiekami.

– Ale to czyste barbarzyństwo! – stwierdziła oburzona.

– To prawda – przytaknęła Peg. – Ale właśnie dlatego zbudowano Willard. Miało to być idealne miejsce dla ludzi nieuleczalnie chorych psychicznie, którzy z braku alternatywy umieszczani byli w przytułkach i więzieniach.

Po przyjęciu do szpitala nowi pacjenci byli kąpani, ubierani, karmieni i zazwyczaj w spokoju dochodzili do siebie na licznych oddziałach.

– Więc ludzie byli tu dobrze traktowani?

Twarz Peg pociemniała.

– Myślę, że z początku tak. Jednak z biegiem lat Willard zaczęło zmagać się z przeludnieniem, co skutkowało pogarszającymi się warunkami. Niestety prawie połowa wszystkich pacjentów szpitala zmarła w tych murach. A przyjęto ich łącznie jakieś pięćdziesiąt tysięcy.

Izzy zagryzła dolną wargę, głowiąc się, jak spytać, czy nie mogłaby po prostu poczekać w samochodzie. Wtem Peg uśmiechnęła się i złapała ją za rękę.

– No chodź! – Jej oczy na nowo nabrały blasku. – Jeden z byłych pracowników chce pokazać nam coś w starym warsztacie. Czuję, że będzie to ważne znalezisko, i nie chcę, żebyś to przegapiła!

Izzy zakłęta w myślach i ruszyła za swoją przybraną matką wzdłuż głównej drogi w kierunku warsztatu, desperacko próbując wymyślić jakąś wymówkę, żeby nie wchodzić do środka. Miała pustkę w głowie. Nie wpadła na nic, co nie zabrzmiałoby głupio lub wariacko. A nie chciała, żeby Peg pomyślała sobie, że Izzy jest szalona. Minionego lata, kiedy pierwszy raz zjawiła się u Peg i Harry'ego, była przekonana, że okazą się tacy sami, jak wszyscy jej poprzedni przybrani rodzice. Że zabrali ją do siebie dla pieniędzy i darmowej siły roboczej. Harry był dyrektorem artystycznym w państwowym muzeum i Izzy odniosła wrażenie, że w ich domu nigdy się nie przelewało. Na szczęście tym razem była w błędzie. Jej nowi



przybrani rodzice okazali się porządnymi ludźmi, gotowymi zapewnić jej przestrzeń i swobodę – zarówno w sensie fizycznym, jak i emocjonalnym – których każda młoda kobieta tak bardzo potrzebuje. W ich trzypiętrowym domu w Interlaken Izzy miała własny pokój z widokiem na jezioro, wyposażony w telewizor, DVD oraz komputer. Stwierdzili, że to od niej zależy, czy już zawsze będą ją darzyli takim zaufaniem. Wtedy po raz pierwszy ktoś pozwolił Izzy zdecydować o zasadach gry, nie zakładając z góry, że jest to przegrana sprawa. I teraz po raz pierwszy od bardzo długiego czasu Izzy czuła, że jest częścią czegoś „normalnego”.

A jednak czasami ta nowa sytuacja wydawała się zbyt piękna, żeby mogła być prawdziwa. Głęboko w środku wiedziała, że coś lub ktoś może jeszcze to wszystko zniszczyć. Tak zazwyczaj układało się jej życie. Potem przypominała sobie, że za dwa dni będzie musiała pojawić się w nowej szkole, i żołądek podszedł jej do gardła. Bycie „tą nową” nigdy nie jest przyjemne.

Im bardziej zbliżały się do warsztatu, tym większe odczuwała uderzenia gorąca. Podobnie jak jej matka, Izzy miała szaroniebieskie oczy, czarne włosy i jasną karnację. Kiedy się denerwowała, na jej szyi i dekolcie pojawiały się czerwone plamy. Czuła właśnie, jak kolejna fala gorąca rozlewa się po jej skórze. Przebywanie na zewnątrz, na trawnikach szpitala, to jedno. Ale teraz wchodziła do jednego z budynków. Z każdą chwilą rosta w niej coraz silniejsza potrzeba ucieczki, sprawiając, że serce niemal wyskakiwało jej z piersi. *To tylko jeden z aspektów mojej pracy*, tłumaczyła sobie w myślach. *To wszystko nie ma nic*

*wspólnego ze mną czy z moją matką. Poza tym najwyższa pora odłożyć na bok dziecinne lęki i obawy.*

Zebrała swoje długie włosy na czubku głowy i związała w kucyk, pozwalając, by wiatr ostudził rozgrzaną szyję.

– Nie jest ci ciepło w tej bluzce z długim rękawem? – spytała ją Peg.

– Nie – odpowiedziała, ściągając materiał jeszcze niżej, tak że przykrywał już połowę dłoni. – Jest naprawdę cienka.

– Kiedy składałam twoje wyprane ubrania, zauważyłam, że nie masz chyba żadnych bluzek z krótkim rękawem. Może wybierzemy się na zakupy i kupimy ci trochę nowych ciuchów?

Izzy próbowała się uśmiechnąć.

– Dzięki, ale podobają mi się długie rękawy. No i naprawdę nie musisz prać moich ubrań.

– To żaden problem – odpowiedziała Peg z uśmiechem. – Ot, po prostu nie rozumiem, jak można chcieć nosić długie rękawy w taką pogodę.

Izzy wzruszyła ramionami.

– Mam małe kompleksy na punkcie moich ramion. Są takie chude i blade...

– Zapewniam cię, że większość dziewczyn dałaby wszystko, żeby mieć takie długie, smukłe ramiona i nogi jak ty – stwierdziła radośnie Peg.

*Bo nie widzą tych wszystkich blizn,* pomyślała Izzy.

Spojrzała w stronę jeziora i dostrzegła grupki ludzi zgromadzone blisko brzegu – niektórzy siedzieli przy stołach piknikowych, inni spacerowali, jeszcze inni grali w softball i badmintona. Większość miała na sobie

znoszone, wypłowiałe ubrania i poruszała się w zwolnionym tempie, niczym pod wpływem silnych leków. Izzy zatrzymała się.

– Kim są ci ludzie? – spytała stojącą obok Peg.

Kobieta osłoniła oczy przed słońcem i mrużąc je, spojrzała w tamtym kierunku.

– To pewnie pacjenci z pobliskiego Centrum Psychiatrycznego Elmira – odpowiedziała. – Tuż przy jeziorze znajduje się kemping. Od czasu do czasu pracownicy centrum przywożą tu pacjentów na krótki wypad.

Oczy Izzy wezbrały łzami i szybko ruszyła dalej ze wzrokiem wlepionym w ziemię. Peg starała się dotrzymać jej kroku.

– Co się stało? – spytała.

– To tam trzymali moją mamę – odpowiedziała Izzy.  
– W Elmirze.

Peg położyła jej dłoń na ramieniu.

– Przepraszam, nie wiedziałam.

Izzy podniosła głowę i próbowała się uśmiechnąć.

– Nie szkodzi. To było dawno temu.

– Mam nadzieję, że wiesz, że zawsze chętnie cię wysłucham, gdybyś chciała pogadać.

– Wiem – odpowiedziała Izzy. – Dzięki.

*Ale nie, dzięki*, pomyślała. Żadne gadanie nie zmieni tego, że człowiek jest wybrakowanym towarem. Zanim jej babka zmarła siedem lat temu, Izzy była u trzech różnych lekarzy, próbując pozbyć się dręczących ją koszmarów. Nikt nie był w stanie jej pomóc. Zresztą lekarze i tak na niczym się nie znają. Swego czasu całe gremium doświadczonych medyków stwierdziło, że matka Izzy

była w pełni sił fizycznych i umysłowych i powinna stanąć przed sądem. A teraz siedziała w więzieniu, zamiast otrzymać pomoc, której tak potrzebowała. Jednak Izzy wiedziała, że szaleństwo było jedynym wytłumaczeniem tego, dlaczego jej matka zastrzeliła jej ojca we śnie.

Kiedy dotarli już do warsztatu, były pracownik Willard otworzył drzwi i zaprosił do środka Izzy, Peg oraz dwóch innych ludzi z muzeum.

– To tutaj pacjenci pakowali długopisy i sklejali papierowe torebki – powiedział radosnym tonem, zupełnie jakby pokazywał im wystawę ręcznie robionych narzut na lokalnym festynie.

W opustoszałych pokojach znajdowały się nagie stoły warsztatowe. Pomarszczone kalendarze i stare gaśnice wisiały na popękanych i sypiących się ścianach. Wiekowa winda towarowa była już od lat nieczynna, więc Izzy i reszta byli zmuszeni wspiąć się po wąskich, stromych schodach na strych, ostrożnie omijając połamane stopnie oraz kawałki gruzu i strzepując z włosów pajęczyny. Kiedy dotarli na górę, ich przewodnik użył swojego klucza i oparł się całym ciałem o drzwi, próbując je otworzyć na oścież. Te jednak ani drgnęły. Peg postanowiła pomóc i sama również napała obiema rękami na lite drewno. W końcu dał się słyszeć zgrzyt zawiasów i drzwi ustały. Zatechłe, pełne kurzu powietrze na schodach podniosło się, zupełnie jakby strych robił właśnie ogromny wdech. Pracownik wpuścił ich do środka.

Było tu nieznośnie gorąco i duszno, a w powietrzu unosił się zapach starego drewna, kurzu i ptasich odchodów.

Podłogę miejscami pokrywały suche liście, które wiatr przywiał przez otwór po wybitej szybie.

Na jednej ze ścian wisiał, zawieszony na gwoździu, zszarzały fartuch laboratoryjny, a na podłodze leżało kilka otwartych walizek, których zawartość porozrzucana była po całym strychu. Klucze do domu i fotografie, kolczyki i paski, bluzki i skórzane buty – wszystko to wymieszane z kurzem, brudem i martwymi liśćmi niczym gnijące rzeczy osobiste wykopane z grobu. Na środku obszernego pomieszczenia leżała torba lekarska oraz coś, co wyglądało jak potargana mapa – jedno i drugie pokryte grubą warstwą zaschniętych gołębic odchodów.

Poniżej krokwi znajdowały się całe rzędy ogromnych drewnianych regałów. Podzielone na „Mężczyzn” i „Kobiety” i uporządkowane alfabetycznie od A do Z. Regały te stały prostopadle do wysokich ścian, tworząc długi korytarz przypominający główną alejkę w sklepie czy bibliotece. Jednak zamiast konserw czy książek można było tam znaleźć skrzynki, szafy i walizki.

– Co to jest? – przerwała ciszę Peg. W jej głosie czuć było nutę podziwu.

– To tutaj trzymali bagaże – odpowiedział były pracownik. – Wszystkie te walizki i skrzynki należały do pacjentów, którzy zgłosili się do szpitala, ale nigdy nie zostali wypisani. Nikt nie dotykał tych wszystkich rzeczy od momentu, kiedy ich właściciele spakowali je całe dekady temu.

Izzy zagryzła dolną wargę, próbując powstrzymać wzbierające łzy. Przypomniała sobie otwartą walizkę po dróżną swojej matki leżącą na stole przylegającym do jej

szpitalnego łóżka – beładna mieszanina majtek, biustonoszy i koszul nocnych. Nigdy nie zapomni chwili, kiedy po raz pierwszy weszła do sypialni rodziców po tym, jak jej tata został zamordowany. Ktoś musiał pomóc babci znaleźć i spakować rzeczy mamy. Pamięta, że wysuwała szuflady rodziców w zwolnionym tempie, uwalniając znajomy zapach perfum należących do jej matki, który przylgnał do staników i halek i bezlitośnie przypominał Izzy o tym, co straciła. W tamtym czasie dało się jeszcze wyczuć w powietrzu zapach krwi i prochu strzelniczego. Wpatrywała się w łóżko rodziców, które zostało pozbawione zagłówka, podnóżka i boków. Leżało teraz oparte o ścianę, rozebrane na części, zupełnie jakby byli w trakcie upragnionej przeprowadzki do większego domu, o którym matka tak marzyła. Tylko tyle mogła zrobić, żeby nie wybiec z tego potwornego strychu na świeże powietrze, z dala od tych okrutnych pamiątek po straconych i zrujnowanych istnieniach – przygryzać dolną wargę, do krwi.

– To prawdziwa skarbnica – stwierdziła Peg. Przeszła się wzdłuż alejek, delikatnie muskając skórzane uchwyty kufrów i walizek, i mrużyła oczy, próbując odczytać plakietki i wyblakłe monogramy. A potem obróciła się na pięcie i spojrzała na byłego pracownika szeroko otwartymi oczami. – Co planują z tym wszystkim zrobić?

Mężczyzna wzruszył ramionami.

– Pewnie wywiozą na śmietnik – odpowiedział.

– O nie! Nie możemy na to pozwolić. Musimy zabrać te rzeczy do magazynu muzeum.

– Wszystkie? – zapytał z niedowierzaniem jeden z jej współpracowników.

– Tak – odparła Peg. – Nie rozumiecie? Te walizki są równie ważnym odkryciem jak wykopaliska archeologiczne czy kolekcja starych obrazów. Ci ludzie nie mieli nigdy szansy opowiedzieć swoich historii poza murami szpitala psychiatrycznego. Ale możemy spróbować zrozumieć, co im się przydarzyło, przyglądając się ich rzeczom osobistym. Mamy rzadką okazję, by spróbować odtworzyć ich życie z czasów, zanim trafili do Willard! – Spojrzała na Izzy. – Czy to nie brzmi ekscytująco?

Izzy robiła, co mogła, żeby się uśmiechnąć, ale w środku czuła, jak lodowate szpony paniki zaciskają się na jej gardle.



WYDAWNICTWO  
**KOBIECE**

Spodobał Ci się fragment tej książki?

Zamów ją w naszej księgarni

**[www.WYDAWNICTWOKOBIECE.pl](http://www.WYDAWNICTWOKOBIECE.pl)**

Bądź na bieżąco i śledź nasze wydawnictwo na Facebooku:

 [www.facebook.com/kobiece](https://www.facebook.com/kobiece)



ul. Kolejowa 12B/12

15-701 Białystok

e-mail: [redakcja@wydawnictwokobiece.pl](mailto:redakcja@wydawnictwokobiece.pl)

tel. 731-019-059